

Budząc się, nie mogę odgadnąć gdzie jestem. Nie rozpoznaję ani sufitu, ani ścian, ani okien. Wilgotne podłóżę zapomnianej od stuleci studni wciąż mnie, niczym trąba powietrzna. Potrzebuję ratunku, chcę wołać o pomoc, ale w gardle, w miejscu strun głosowych, wyrosły mi dwie splecione liany. Tkwię w tej nieokreślonej przestrzeni chyba wieki, zamrożona, zamszona, samotna. Najbezpieczniej jest odwrócić się w stronę drugiej połowy łóżka, by sprawdzić czy obok mnie leży moja pięcioletnia siostra, czy może któreś z samczych, dorosłych ciał. Nie zdążam jednak tego uczynić, ponieważ jakimś niewytłumaczalnym cudem odzyskuję słuch, dzięki któremu identyfikuję donośne głosy, odbijające się o ściany długiego korytarza. Ktoś puka do drzwi, a z ich drugiej strony unosi się męski tenor, który bez wątpienia zwraca się do mnie.

- To ty gotujesz zupe? Właśnie przypala się.

Akademik, ulica Studencka, trzecie piętro, pokój numer 402 - wielkości pudełka zapalek. Moja współlokatorka jest jeszcze na zajęciach, a ja zdrzemnęłam się, zostawiając w kuchni, oddalonej o parę metrów od pokoju, gotujący się na gazie barszcz. Wznoszę dziękczynne modły wszystkich bogów, bagnistych duchów i czterolistnych koniczyn, śmiejąc się z siebie i nie dowierzając, że od razu nie skojarzyłam kilku banalnych faktów. Z uspokojonym atakiem serca, odstawiam, syczący ze wściekłości, garnek do zlewu.

Piękna polska jesień. Skulone od chłodnego powietrza liście, na znak wisielczego buntu, zygzakowatym torem spadają z drzew. Niegdyś były zielonymi cielskami, dumnie uczepionymi na gałęziach. O tej porze roku przybierają postać, kruszących się pod ludzkim ciężarem, kameleonów. Podczas jesieni najpiękniej jest mieć dwadzieścia lat: splamioną krwią i spermą pościel i niedoczytaną książkę, leżącą pod łóżkiem. Wtedy wydaje się, że w chaosie można odnaleźć porządek, w dzikich wygibasach - spokój. Daję się ponieść myślom, że posiadam umysł dojrzałej kobiety, tymczasem jestem niczym innym, jak małym świerszczem, raz po raz grającym swoje melodie. Wychylając nos z dziupli, zerkam na świat. Marzę o dalekich podróżach z domem na plecach - upragnionym garbem. Bez pamiątek, zapisków, kolorowych zdjęć. Na stopa, autobusem, pociągiem, samolotem. Wojaży jest tak wiele, że wraz ze współlokatorką nie zdążam systematycznie uzupełniać asortymentu piwa, aby mogło nam towarzyszyć przy omawianiu szczegółów eskapad. W poniedziałek, za sprawą nocnych rozmów, byliśmy pod murem Chińskim, nieopodal gór Nan - Szan. Wtorek zaś przeznaczyłyśmy na wizytę w Cerkwi Wasyla Błogosławionego w Moskwie, by już w środę delektować się pobytem w Dolinie Królów. Naszą małą, zamkniętą na cztery spusty chatkę wyścieliłyśmy kobiercami zylastych map. Niestraszne nam rdzawe barwy gór i ich śmiercionośnych szczytów ani głęboki brąz nieodkrytych przez ludzką stopę jaskiń. Rozległe, błękitne plamy oceanów przepływamy z niedowierzającą zwinnością. Nasz strach niemocy zaczerpnięcia powietrza osiąga apogeum przy krętych liniach wielkich rzek świata. Tonęłyśmy w Amazonce i Dunaju, wody Jeniseju i Kongo próbowały wypełnić nasze płuca. Z wszystkich walk o kolejną szansę pozostania żywym, wyszłyśmy prawie bez szwanku; nie licząc kilku szwów na łokciach i kolanach: higienicznych pamiątek z przebytej wyprawy.

Na suchym lądzie, gdzie jest w miarę bezpieczne, co dzień odbywa się dobrze nam znany cyrk stawiania się dorosłym człowiekiem: wygodnego dobierania słów i używania cieni do powiek. Każdego dnia zadajemy sobie pytanie: czy przeznaczyć pięć złotych na obiad w stołówce studenckiej, czy na LM-y? Systematycznie bierzemy udział w niedzielnych spacerach po supermarketach, kupując soki z promocji, a wieczorami pokazujemy barmanom dowód osobisty. Nasze rozmowy z rówieśnikami o planach na przyszłość, polityce, medycynie, kinie, stają się wyrafinowane. Przekrzykując kompanów dyskusji,

wymieniamy spostrzeżenia na temat wojny w Czeczenii, Bośni, Afganistanie lub o konflikcie palestyńsko - izraelskim. Czasami w swoich „intelektualnych” wywodach zahaczamy o kilka afrykańskich państw, przeplatając opisy zbrodni wojennych z reklamą proszku do prania. Paradoksalnie przeistaczamy się w ten typ człowieka, którym zawsze gardziłyśmy. A tak naprawdę, oprócz paru informacji zdobytych przez Internet, gównie wiemy o tych wszystkich realnych horrorach!

Czuję się bezradna. Zostałam z niezrozumiałego dla mnie powodu wplątana w ambitny rozgardiasz dorosłości, bez szansy odwrotu. Nie mam najmniejszych szans na schowanie się w ciepły, przytulny piach. Zwieszam głowę, co pozwala mi dogłębnie poznać niezrównany rzeźbiarski talent czasu. Nikt tak dobrze jak ja nie zna wyżłobionych nierówności, zacieków i pęknięć na płytach chodników w całym mieście.

- Jesteś zbyt wrażliwa. Wszystkie twoje opowieści to tylko dobrze skondensowane mrzonki. Nic więcej! - moja współlokatorka, nigdy mnie nie rozpierała. Tymczasem czasy studenckie skończyły się bezpowrotnie. Zastanawiało mnie wtedy jedno: czy potrafię zmierzyć się z życiem poza akademikiem? Doskonale wiedziałam, że będę musiała przejść przez pewnego rodzaju proces degradacji, który spowoduje, że stanę się panienką w garsonce z teczką pod pachą. Tymczasem uwielbiałam swoją mleczną skórę rusalki, ubranej w dżinsy, stary sweter z małą kieszonką, w której chowałam pusty portfel i gumy do żucia. Gdzie mam pójść? Wszystkie książki, ubrania, kosmetyki zostały już spakowane. Jeszcze przed ukończeniem studiów, starałam się znaleźć pracę, niestety moje plany nie ujrzały światła dziennego. Gdzie mam pójść? Czy wrócić do domu rodziców, którzy głęboko wierzyli, że wraz z odcięciem pępownicy rozpocznę karierę zawodową? Czy już jutro zarejestrować się w urzędzie pracy jako bezrobotna, na wypadek, gdyby przejechał mnie samochód, a co za tym idzie, aby lekarze spróbowali poskładać moje pogruchotane kości? Zauważyłam, że te same pytania zadaje sobie spora część moich znajomych - absolwentów studiów humanistycznych (oprócz tych, dla których Święty Mikołaj był hojny i podarował im ciocię dyrektorkę lub wujka prezesa).

Miałam całą noc na pożegnanie się ze swoimi kątami. Chciałam usiąść pod miotłą, zapisać mysia arię i wyjechać. Niestety, moja współlokatorka, której osobliwą wadą i zarazem precyzyjną zaletą jest spryt, w każdym narożniku pokoju rozstawiła pułapki na myszy wielkości ogrodowych krasnali. Gdy odkryłam jej podstęp, co oznajmiłam przesadnym grymasem twarzy, powiedziała.

- Pójdziemy do Tawerny, opowiesz mi jakąś historię. Wiesz, że bardzo je lubię.

Cdn:)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Adela, dodano 17.02.2011 09:45

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.